

JANINA SMOLIŃSKA ur. 1919; Moskwa

Tytuł fragmentu relacji	Praca na poczcie
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin; II wojna światowa
Słowa kluczowe	Lublin, okupacja, poczta, praca na poczcie, Poczta Główna, początek wojny, Milanów, poczta w Milanowie

Praca na poczcie

To był początek roku 40, silne aresztowania. Był obowiązek rejestracji. Urzędowym nakazem podlegała młodzież, powiedzmy, od 15, 16 roku życia i do dwudziestego któregoś roku życia. Te roczniki miały obowiązek rejestrować się w Urzędzie Pracy, w tak zwanym Arbeitsamcie. Arbeit – praca po niemiecku, Amt – urząd. Urząd pracy. Więc ja musiałam się koniecznie zarejestrować, ale jednocześnie tatuś robił starania, żeby znaleźć dla mnie jakieś zatrudnienie oficjalne w Lublinie. Więc rozmawiał ze swoimi kolegami, którzy już wrócili do pracy na poczcie, a tatuś nie poddał się jeszcze tej presji. Powiedział: „Jestem dobrym patriotą. Wojna ma być błyskawiczna. To za te kosztowności, które przywieźliśmy z Rosji ukradkiem, przeżyjemy jakoś, a do Niemców pracować nie pójdę”. To była taka wielka zasada, jeśli można tak nazwać, która kierowała tatusem, żeby nie zgłaszać się już na początku okupacji do pracy u Niemców. „Ale Ninkę musimy ratować”. Tak mówił do mamy, a ja to wszystko słyszałam. No i chyba posłuchał swoich kolegów, którzy wcześniej już się zatrudnili, żeby mnie też ulokować albo w jakimś urzędzie niemieckim, albo w firmie niemieckiej, żebym ja dostała ausweis, to znaczy dowód zatrudnienia, dowód osobisty jakby, taką legitymację, z której wynikałoby, że jestem pracownikiem niemieckim i wtedy uniknę aresztowań, łapanek czy innych jakichś represji ze strony okupanta. Nieprawda. Wcale mnie ten ausweis nie bronił. Absolutnie.

Znajomy tatusia, pan Chodziakiewicz, który miał działkę i piękny dom na Kochanowskiego – to jest po drugiej stronie Kunickiego – i córki mniej więcej rówieśniczki moje, więc przeżywał taką samą historię, jak i moi rodzice, poradził tatusiowi: „Składaj podanie. Niech córka składa podanie do nas”. On już się zatrudnił w Urzędzie Pocztowym numer 2, to ten urząd przy Dworcu Głównym, i miał dobrą sytuację, bo został kierownikiem kadr, ale pracowników pochodzenia polskiego. Więc mówi: „Składajcie podanie do kadr niemieckich, bo oni decydują o przyjęciu pracownika. Ale to jest w tej chwili jedyne wyjście, żeby w ten sposób postąpić”. No to tatuś usłuchał. Poradził mi, żebym ja rzeczywiście to podanie złożyła. Niestety nie było etatu w Lublinie. Na żadnej poczcie nie było etatu dla mnie w Lublinie. Pomimo że wszystkie wakacje między zajęciami uczelnianymi spędzałam na poczcie numer 1 – to ta główna poczta przy Krakowskim Przedmieściu – jako telegrafistka. Nawet i w pierwszych dniach okupacji jeszcze tam pracowałam. Och, jakie ja przyjmowałam telegramy! Boże! Wojsko polskie obsługiwałam. To

były całe elaboraty, ale wszystko przy pomocy jakichś specjalnych kodów, szyfrów, łąka, kwiaty, brzozy, to, tamto. Niezrozumiałe to dla mnie, ale całe poematy. Dosłownie. Taki jeden meldunek, to niejednokrotnie zabierał godzinę czasu albo więcej. A ja tam na tych aparatach telegraficznych Morseem i jeszcze inaczej pracowałam, pracowałam, pracowałam.

Już zaczęła się naprawdę okupacja straszliwa w Lublinie. Po złożeniu podania czekałam, jaki będzie efekt tego podania. No, przyjęli mnie, ale od razu mnie uprzedzili, że wyślą mnie poza Lublin jako kierownika takiego urzędu prowincjonalnego. Przedtem jeszcze musiałam dwutygodniową praktykę odbyć. No, najchętniej doradzili mi, żebym się zgłosiła na pocztę do Głuska, bo to mogłam sobie tam nawet pieszo dojść. A tam już była taka agencja pocztowa. I tam kierowniczką była córka proboszcza. Odbyłam tę praktykę. Przydzielili mnie najpierw do Krasienina. Niedaleko Lublina, na północny zachód, tak w stronę Wisły. Piękna miejscowość, piękna. Ale ten urząd pocztowy to trudno było nawet nazwać urzędem. Obsługa jednoosobowa i właśnie tam pracowała jedna z córek pana Chodziakiewicza, ale się nabawiła paskudnej choroby. Musiała pójść na zwolnienie lekarskie. Po prostu ospę. Przyjechała do Lublina. Mnie wysłano na zastępstwo do niej.

Byłam trochę zaniepokojona tą propozycją, jak się dowiedziałam, że Jadzia Chodziakiewicz rozchorowała się na tę ospę. Bo to nie była zwykła wiatrówka, tylko ta paskudna ospa. Dziewczyna była cała w krostach. A dowiedziałam się od właścicielki domu, w którym mieściła się poczta, ta agencja pocztowa, i stacja pracownika pocztowego. Dowiedziałam się właśnie o tym od tej właścicielki, bo kiedy ja tam dojechałam, oczywiście pięknym powozem zaprzężonym w jednego konia, innej komunikacji nie było, to pani gospodyni akurat szorowała wszystkie podłogi ługiem. Ługiem. To był taki środek dezynfekujący i jednocześnie piorący, bo do prania też się go używało. Można go było sobie wyprodukować nawet w domu wypalając odpowiednie drewno na popiół i w tym popiele znajdował się ten właśnie ług. I ona szorowała te podłogi, ja przyjechałam z całym bagażem, z ekwipunkiem. I ona mówi: „A panienka nie boi się mieszkać w tym mieszkaniu, gdzie pani Jadzia była?” I opowiedziała mi o tej chorobie. Ja mówię: „Nie mam innego wyjścia”. „No, ja pościel zmieniałam – mówi. – To jest wyprana, wygotowana. Nie powinno tam nic być”. Taka kulturalna, dość obyta kobietka, chociaż rolniczka. Ówczesna rolniczka, bo teraz rolnicy są wykształceni. No, musiałam tę poprawkę zrobić, żeby nie ubliżyć rolnikom. No i zostałam tam przez jakiś czas. Nie pamiętam już, jak długo.

Pod koniec lata już w 41 roku – tak, te formalności trochę trwały przecież – dostałam przydział do Milanowa. To już spora agencja: czterech podległych panów i pani agentka. No, nie koniecznie pani, bo były agencje obsadzone tylko przez mężczyzn. Ci moi przyszli czterej podwładni to byli doręczyciele z tym, że jeden to był również gońcem do stacji kolejowej. Bo pocztę odbieraliśmy za pośrednictwem ambulansu pocztowego. Innej możliwości wtedy nie było. Rano jechał pociąg z Lublina do Łukowa. Wtedy w Milanowie odbieraliśmy pocztę i wszystkie inne przesyłki. Czasem trzeba było brać nawet furmankę, jeżeli było trochę paczek. Ale raczej nie było. W przeciwnym kierunku to szły paczki. A po południu o godzinie 16, pamiętam jak dzisiaj, bo tak punktualnie, że podług biegu pociągu regulowało się zegarki. Tak punktualnie jechały pociągi. Ten z Lublina o 12 w południe. A nie wolno było dzwonić na Anioł Pański. Dzwony były pozdejmowane. To podług pociągu lubelskiego pociągu regulowaliśmy zegarki, a po południu podług łukowskiego pociągu. To ten sam skład wracał. Odpoczął w Łukowie i wracał. No to taki Władzio, trochę niedowidzący ale obrotny chłopak, on był tym gońcem. A dwaj pozostali to byli obydwaj Stachowie. Jeden miał dopiero 16 lat, ale wolno mu było pracować. Bo ja już zastałam taki stan osobowy i nie zmieniałam nic. A drugi 19 lat i obydwaj byli już partyzantami ale w Batalionach Chłopskich.

Tak się złożyło, że ja byłam zobowiązana do doręczenia mojej poprzedniczce wymówienia. Ona wpadła w taką złość, że nazwała mnie konfidentką niemiecką. Po całej wsi zaczęła głośić, że ja mam coś wspólnego z Niemcami, jeżeli ją wywalili, a tę przysłali. Tę przysłali. Ale ona była naprawdę absolutnie nie przygotowana do pełnienia takiej funkcji. Jednym słowem zaopiniowała mnie niepozytywnie. Absolutnie. Wręcz negatywnie. W tej wsi zaczęli tak ludzie bokiem na mnie patrzeć trochę. Tym bardziej, że ona już nie miała sensu zatrzymywania się w tym Milanowie, ale trzymała ją miłość. Bo był niemiecki urząd pracy. Taka agencja niemieckiego urzędu pracy w Milanowie, ponieważ to wielka miejscowość. Kierownikiem tego urzędu był rodowity Niemiec, ale super człowiek. Słowo daję. Wcale jak nie Niemiec. A jego podwładnymi byli trzech chłopcy z Bydgoszczy. Bydgoszcz już wtedy była przyłączona do Rzeszy, poza granicami Generalnego Gubernatorstwa. I oni byli w wieku poborowym, więc mieli do wyboru: albo do wojska, albo do kopalni, albo do urzędu pracy jako ci zgarniacze siły roboczej spośród Polaków. My ich pospolicie nazywaliśmy łapacze. No bo oni nas łapali w łapankach i formowali transport i wywozili do Niemiec na roboty przymusowe. W jednym z tych łapaczy, na imię miał Witek, dziewczucha się rozkochała i to poważnie. No i żal jej było opuszczać ten Milanów. Ale z czasem musiała wyjechać, a ja zajęłam jej pokój. Tam ulokował mnie sołtys na stację.

Data i miejsce nagrania	2008-06-30, Lublin
Rozmawiał/a	Magdalena Kożuch
Transkrypcja	Magdalena Kożuch
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"